



Muzyczne oblicza buntu

2024-02-23

Najpierw jest bez troskie (czasem niestety też „troskie”) dzieciństwo. Potem dorastamy i zaczynamy się buntować, choć odnoszę wrażenie, że moje córki buntują się od zawsze, a pierwszy był bunt trzylatki Zuzi („O buncie dwulatki zapomniałeś?” - rzuca Ania, pierwsza lektorka moich felietonów). Teraz Zuzia ma siedem i pół roku, a jej siostra Zosia sześć lat i choć kilka okresów buntu już przeżyliśmy, zdajemy sobie sprawę, że największe wyzwania jeszcze przed nami. Intensywny, ale szybko wygasający bunt jest za to nieustannie obecny w życiu ich przyrodniego brata Rocha (lat piętnaście).

Buntownik „umiarkowany”

A wracając do meritum... Bunt przybiera w życiu każdego/każdej z nas inne formy i zróżnicowane natężenie. Sam byłem raczej buntownikiem „umiarkowanym” (mama opowiada do dziś, jakim to byłem grzecznym chłopcem), choć zawsze miałem dość wyraziste zdanie na każdy temat.

Jednym ze sposobów na wyrażenie buntu jest muzyka. W PRL-u jedni buntowali się przy jazzie, drudzy przy rocku, metalu czy punku.

Moje drogi poszły w trochę innym kierunku. Gdy miałem lat naście, polowaliśmy z kolegą na stolik, który pojawiał się od czasu do czasu (nieregularnie, żeby milicja nie mogła go za łatwo namierzyć) na rogu ulic Starowiśnej i św. Anny. Sprzedawano z niego wydawnictwa niezależne, m.in. śpiewniki i kasyety z nagraniami zespołu Kaczmarski/Gintrowski/Łapiński, solowe Jacka Kaczmarskiego, Zespołu Reprezentacyjnego, czy Louisa LLacha. No i, rzecz jasna, próbowaliśmy je śpiewać.

I tu dochodzę do naszego buntowniczego wystąpienia. Chodziłem do bardzo czerwonego wówczas Technikum Elektrycznego nr 2 na os. Szkolnym. Żeby oddać intensywność czerwoności dodam, że gdy rozpoczynałem tam naukę, u szczytu schodów stało gipsowe popiersie Lenina (zniknęło nieoczekiwanie, gdy jakiś buntowniczy uczeń wydrapał mu „coś” na czole).

W naszej szkole, podobnie jak w większości innych, odbywały się co roku przeglądy artystyczne, w których regularnie wygrywały programy apelowe z okazji rocznicy rewolucji październikowej lub listopadowej. I oto pewnego roku – 88 lub 89 – nieoczekiwanie padł wynik ex aequo: pierwsze miejsce zajął jeden z apeli i nasz program złożony z piosenek Kaczmarskiego, Gintrowskiego i Łapińskiego.

Nie piszę tego, żeby budować tu sobie jakąś opozycyjną kartę, ale żeby opowiedzieć o tym, jaką muzyczną formę przybrał nasz prywatny bunt.

Buntownicza wystawa

Do poniższych wspomnień skłoniła mnie zbliżająca się wystawa w Muzeum Nowej Huty, oddziale Muzeum Krakowa – „Bunt w systemie. Muzyczne przestrzenie wolności 1945–85” (wernisaż 22 lutego, wystawa czynna od 23 lutego). „Od rock’n’rolla po reggae, od bikiniarzy po punkowców, od Melomanów po T.Love Alternative i Praffdatę, od Krakowa po Wybrzeże, od półjawnych jazzowych jam



**Magiczny
Kraków**

sessions po hałaśliwy festiwal w Jarocinie” – zapowiada ekspozycję jej kurator dr Zbigniew Semik, autor wystawy „Wańka wstańka. Nowohucki pomnik Lenina”. Osoba bardzo niezależna, wielbiciel punka. Byłem kilka lat temu, jeszcze gdy działało Muzeum PRL-u, przy narodzinach tego projektu. Bardzo więc jestem ciekawy, jaki Zbyszek go rozwinął i zrealizował.

I jeszcze dwie buntownicze refleksje. Pierwsza dotyczy współczesnego pojmowania buntu. Kilka lat temu w Muzeum Nowej Huty zorganizowaliśmy spotkanie z udziałem byłych działaczy opozycji demokratycznej i współczesnych buntowników. Jego efekt mnie zaskoczył, bo okazało się, że starsi dziś panowie gotowi byli budować barykady, a ich współcześni odpowiednicy kalkulowali na zimno: bunt tak, ale w odpowiednim momencie, żeby przyciągnąć uwagę mediów.

Druga refleksja to tak właściwie pytanie do państwa: czy współczesna muzyka nadal ma w sobie tak duży potencjał buntu, czy też on z niej wyparował?

Ryszard Kozik – z urodzenia i zamieszkania nowohucianin, były dziennikarz „Gazety Wyborczej”, pracownik Muzeum Krakowa